Jan Goczoł. Poeta innego czasu?



Jan Goczoł, fot. Katarzyna Zawadzka.

Korespondencja z Polski

Leszek Żuliński

Pozwolę sobie zacząć od dygresji osobistej… Otóż Jan Goczoł i ja urodziliśmy się kilka kilometrów od siebie, z tą różnicą, że poeta piętnaście lat wcześniej. On wydał swój pierwszy tom wierszy w roku 1961, ja czternaście lat potem. Ale taka właśnie różnica wieku i startu literackiego wystarczyła, że jako debiutant miałem Goczoła od początku za „klasyka". Był już zresztą znanym działaczem społecznym i kulturalnym na Śląsku Opolskim. I redaktorem. Był „postacią literacką" i szybko stał się poetą cenionym, co mi imponowało. Potem przez dwie kadencje posłował w Sejmie, należał do warszawskich zespołów redakcyjnych, wydawał kolejne książki; jego autorytet umacniał się. I miałem to poczucie więzi z KIMŚ TAKIM, z mojej Opolszczyzny. Mam je do dzisiaj. Może nawet mocniejsze niż dawniej – teraz, kiedy Ślązacy stali się „podejrzaną grupą etniczną".

Jan Goczoł nie był autorem zbyt płodnym (nie musiał; może i dobrze…), ale zawsze „ważnym", toteż bardzo się ucieszyłem, biorąc po latach do ręki jego zbiór wierszy pt. *Z pogorzeliska*. Tym bardziej, że w ostatnich latach gdzieś „mi zniknął". Oczywiście czasy się zmieniły – w samym Opolu pojawili się chociażby tak znani autorzy, jak m.in. Podsiadło, Różycki czy Rudnicki… Tak więc miejsce Goczoła zrelatywizowało się na całej tej mapie poetyckiej.

Czy stał się już poetą „innego czasu”? Hm, w jakiejś mierze na pewno. Młode, galopujące bizonki oddają nas do domów starców, ale – do diabła! – my jeszcze żyjemy, my jeszcze piszemy.

Ten tomik Jana Goczoła ukazał się – przypadkowo – w dobrym momencie, akurat – o czym wspomniałem – gdy rozpętała się absurdalna burza na temat polskości Ślązaków. A Goczoł jest, jak mało kto, przykładem rdzennego Górnoślązaka i poety z krwi i kości polskiego. Właśnie jakby wzorcem homogenizacji historycznej, patriotycznej i kulturowej, kreującej na całej Ziemi szczególnie ciekawe inspiracje i cenne świadectwa czasu.

Wiersze w tym tomiku pochodzą z lat 1985-2010. To nie jest jednak klasyczny wybór – przeważają teksty z lat ostatnich. Jednak widać, że to minione piętnastolecie „przesuwało” Goczoła ku przeszłości, ku konstatacjom uniwersalnym, takim, jakie przychodzą do głowy, gdy sumujemy własne doświadczenia i patrzymy w przestrzeń pozbawioną jasnej perspektywy.

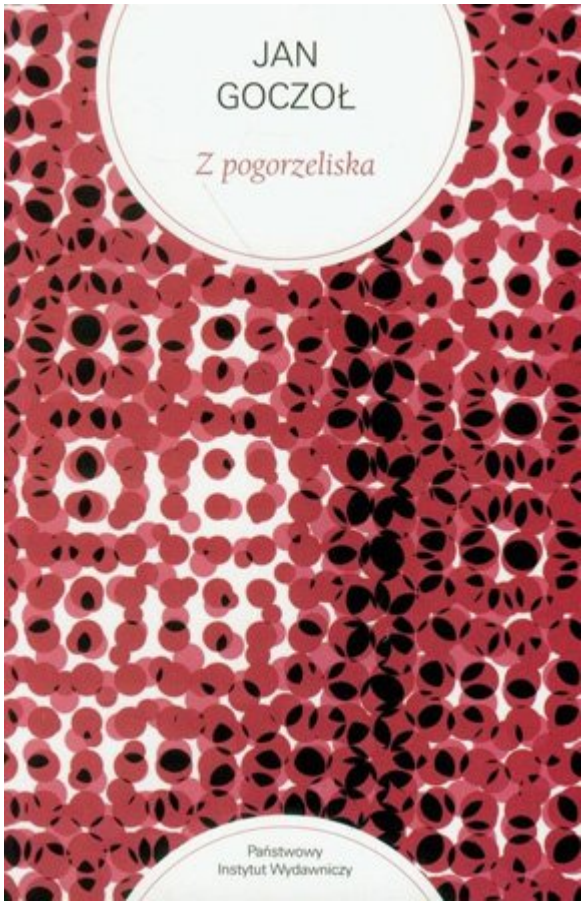

Dostrzec tu można wyraźnie trzy wątki. Pierwszy – to właśnie wątek śląski. Podyktowała go świadomość przynależności do własnej tradycji i kultury, ale chyba jeszcze bardziej nostalgia za upływającym czasem. Goczoł jest teraz w takim wieku, że to wystarczy, by znać i pamiętać zmiany pogody nad swoją ziemią, i to nasączone tymi archetypami, tą „przedpamięcią", jaką wszyscy wynosimy z rodzinnych domów ojców i dziadków. Tradycja śląska pojawia się już na pierwszych stronicach zbiorku, w odwołaniach do Angelusa Silesiusa i Jana Nepomucena, ale szybko te wiersze powiewają naszym czasem. Jak ten, którego mieszkańcami są emigranci i gastarbeiterzy – wnukowie Starego Ślązaka – rozrzuceni po całym świecie. Ale ta postać Starego Ślązaka jest tu najważniejsza i bardzo symboliczna – to jakby matuzalem i patron, rdzeń z rdzenia, kość z kości, opoka… I choć świat ucieka mu spod nóg, on splunie w dłonie, podniesie topór i jak gdyby nigdy nic będzie *rąbał drewno na zimowy opał*. Ładna metafora, nośna, jednak jakby wzięta z mitologii, z baśni, która za lasami za górami. Tak czy owak Goczoł opowiada swoje Macondo, opowiada jakiś etos; strach pomyśleć, że coraz bardziej daleki. Lecz ta nuta śląska brzmi w

tych wierszach mocno, co znaczy, że Goczoł twardo się trzyma korzeni. Czy mogło być inaczej? Inaczej – w jego wierszach?

***

Drugi wątek, to sprawy współczesne. Nasz świat, nasze problemy i wahania. Nie ma tych wierszy dużo, ale jak już – to już. Cytuję w całości wiersz bez tytułu:

> Mów monosylabami, najlepiej
>
> ich ćwierciami, ledwie słyszalnymi, by
>
> ulatywały bezpowrotnie, nie wracając
>
> wołami zapierającymi się w ziemię
>
> coraz bardziej grząską po tych kwaśnych deszczach
>
> między Wisłą a Odrą. Już od wielu pokoleń
>
> tak padają. Chociaż coraz to ci z góry
>
> zmianę pogody obiecują.

To tekst uniwersalny, to wiersz-przesłanie o wysokich walorach aksjologiczno-etycznych, a równocześnie może być czytany jako sarkastyczny utwór „polityczny”, i to bardzo dziś aktualny. Tu widać całą dyscyplinę warsztatową tej poezji, jej umiar i wyciszenie, a jednak sens paraboliczny jest tu czytelny aż do bólu, ostry i niekompromisowy.

Goczoł daje popis poezji znakomitej, wyrafinowanej i „mocnej”. Ale swoje „bunty” przemyca ze stoickim spokojem, w wyciszeniu, w tonacjach lirycznych; m.in. jest świetnym „malarzem znaczeń” i „pejzażystą”, myśli obrazem, tłem, nastrojem, aurą; nie jest ani nowatorem, ani tradycjonalistą, a to z tego oczywistego powodu, że znalazł już dawno swoją nutę osobną. Wprowadza nas w swoją realną prywatność, jak np. w kolędowanie u państwa Wysockich, przyjaciół (aż trzy wiersze na ten temat!) czy w oczarowania (wiersze bieszczadzkie).

Niechaj nas jednak ta kameralność nie odurza swą estetycznością lub czystym liryzmem. To są wiersze „gęste”, „napakowane”, o dużej wadze problemowej.

***

I już docieram do trzeciego wątku, najobszerniejszego w tym tomie, najbardziej bolesnego i chyba najbardziej przejmującego. Ów tytułowy w tej recenzji „poeta innego czasu”, to nie tylko

strażnik przeszłości, to także „zegarmistrz czasu przyszłego”. Ale to już się dzieje na zupełnie innej płaszczyźnie – Goczoł opisuje swoje własne „pogorzelisko” egzystencjalne. Te wiersze są chyba najbardziej przejmujące – bowiem „schyłkowe”, oswajające własny kres, odchodzenie, znikomienie, dobieganie do mety. W kurtuazyjnym odruchu można by zakrzyczeć: „Panie Janie, a dajże Pan spokój”, ale nie zrobię tego, bowiem wszyscy wiemy, że gdy się ma tyle lat, to niemal każdy przymierza czarny garnitur i podsumowuje swoje przeżyte dni. Jednak każda poezja egzystencjalna, metafizyczna, profetyczna w wieszczeniu własnego kresu, to piętro najwyższe, jakiego możemy sięgnąć. Goczoł opowiada swoje „słabnięcie”, swój odmarsz niezwykle subtelnie i z wielką mądrością, którą nasyciło go życie. Mądry jest jego stoicyzm, łagodność, pogodzenie z losem i niezakłamywanie tej wspólnej wszystkim prawdy, ale zawsze najdosadniej prywatnej i beznadziejnej. Ten wątek uważam za apogeum, jakie tu znajduję; to wiersze wielkiej urody, pogodnego smutku, wnikliwego, intymnego autodefiniowania oraz oswajania własnej Nocy. Rzekłbym, że nawet jakiś klasyczny epikureizm tkwi w tym stoicyzmie i trudnej spowiedzi z własnej kondycji.

Tomik zamyka wiersz pt. *Post scriptum*, będący a propos tego, co napisałem powyżej:

> Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę

na wysoki brzeg; z ogromny trudem łapią oddech.

Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak

jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –

jedno zdanie na tydzień, nieraz i rzadziej,

póki się nie skropliły ich wieczności.

Ciemne zawiesiny powinny pozostać nienaruszone –

anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie wyjaśnią,

wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę

w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,

odżywiają się dalekimi głosami.

Ten wiersz, autotematyczny w swym pierwszym planie, to przecież wiersz o udręce niemocy i zdyszanym dobieganiem do

mety. Co ciekawe: bliźniaczym wierszem jest utwór na początku tomu, drugi z kolei. To klamra, która spina wszystko, co tutaj najważniejsze i najbardziej dramatyczne.

Tomik ważny, bogaty, różnorodny, skupiony, intymny, bolesny i bardzo mądrze wmyślający się w krajobrazy zewnętrzne i wewnętrzne Czasu, który Jan Goczoł chce ogarnąć w poczuciu własnego zmęczenia i rozczarowania światem, choć po horacjańsku ukochanym.

Jan Goczoł *Z pogorzeliska*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2011, s. 64.

Jan Goczoł (ur. 13 maja 1934 r. w Rozmierzy) – polski polityk, poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji.